

kich partyach, które dotychczas we Lwowie i Krakowie śpiewała.

Głos p. Hendrichówny jest przede wszystkim liryczny i partye z tego zakresu najpiękniej w jej interpretacji wychodzą. Ale nie brak mu i siły dramatycznej, czego dowodem była duża partya Dziwy w „Starej Baśni“. Rola tę może utalentowana artystka zaliczyć do swych popisowych. Pełna wdzięku i dziewiczej niewinności w ustępach lirycznych, poważna, nawet groźna w scenie porwania przez Domana, lub w chwili wróżby, gdy



Wanda Hendrichówna.

przepowiada krwiożercemu Popielowi straszną śmierć, wokalnie stanęła p. Hendrichówna bardzo wysoko w tej partyi a pod względem gry scenicznej była także bez zarzutu.

Ci, którzy słyszeli p. Hendrichównę przed rokiem, gdy rozpoczynała pracę na scenie, lub dawniej na paru koncertach we Lwowie, mieli w obecnym sezonie doskonałą sposobność stwierdzenia ogromnych, zadziwiających postępów, jakie artystka ta w ciągu krótkiego stosunkowo czasu zrobiła.

Zygmunt Mossoczy.

Dyrektor Heller ma tę niezaprzeczoną zasługę około rozwoju teatru polskiego, iż położył podwaliny pod stałą polską operę, składając ansambl sił wyłącznie rodzimych. Jeśli zadanie to udało mu się przeprowadzić, to w pierwszej linii dzięki okoliczności, iż znalazł wśród licznych u nas zawsze i wszędzie adeptów sztuki siły pierwszorzędne, jednostki obdarzone głosem nieprzeciętnej wartości, indywidualności artystyczne tak wybitne, jak występujące dziś w teatrze lwowskim artyści — jak dalej Malawski, Ludwig, Mossoczy.

Ostatni z wymienionych tu artystów zasługuje na szczególną uwagę. Człowiek młody, ale wysoko utalentowany, władający głosem basowym fenomenalnie pięknym, o dźwięku spiżu i imponującej sile, głosem wyszkolonym pod kierunkiem profesora Wysockiego we Lwowie a potem studiami we Włoszech, jest artystą niepospolitym, jest śpiewakiem jednym z pierwszych w Polsce. Już jako student politechniki lwowskiej — dziś p. Mossoczy jest dyplomowanym inżynierem — zwrócił kilku występami na estradzie koncertowej uwagę na swój wspaniały materiał głosowy. Studya kilkuletnie a następnie praca na scenie rozwinęły przyrodzone warunki młodego artysty do miary niezwykłej i zapewniają mu piękną przyszłość.

P. Mossoczy kreował cały szereg partyj operowych, to też repertuar jego jest ogromny. I trudno określić, które role w interpretacji tego artysty wypadły najlepiej. To pewna, że żadnej nie popsuł, a we wszystkich podobał się bardzo. Ma bowiem na swe usługi oprócz precyzyjnego głosu także wyborne warunki zewnętrzne i muzykalność wybitną. Wszystko to przy gorącym zapale i przy-

wiązaniu do sztuki, przy wielkiej, wzorowej pracowitości, zapewnia mu stałe powodzenie i oklaski. Poważny, spokojny, jako arcykapłan-Wizun w „Starej Baśni“ lub jako kardynał w „Żydówce“, chyttry i demoniczny jako Mefisto w „Faustie“, pełen szczerzego i naturalnego komizmu jako Basilio w „Cyruliku Sewilskim“, zawsze jest doskonały i w każdej roli okazuje nowe, interesujące szczegóły swego talentu.

Oby tacy śpiewacy na kamieniu się nam rodzili!



Zygmunt Mossoczy

Z lwowskiego bruku.

(Powrót operetki i nasza uciecha. — Brak nowin. — Stare nowiny. — Ucieczka z Brygidek. — Zbrodnie seksualne i ich rozgłos. — Posiedzenie Rady w restauracji. — Przebiecie żołnierza w rozmaitem oświeceniu. — Romans psów na Kamiennej i zazdrosna żona.)

W tym tygodniu wraca do Lwowa operetka, który to powrót jest ze strony dyrektora Hellera aktem prawdziwej litości wobec wynudzonych kanikuł, przez koty wściekle pokąsanych, a przez administrację skarbową kompletnie ograbionych mieszkańców stolicy. Ponadto przyjeżdża cyrk, który od miesiąca namyśla się, czy ma zjechać do Lwowa, czy nie zjechać i wreszcie zdecydował się próbować u nas szczęścia. Może być pewnym powodzenia.

Nowin nie mamy zresztą żadnych. Jak w każdym tygodniu, tak i w ubiegłym, mieliśmy kilka katastrof kolejowych, uciekło kilku więźniów z kryminału, zdefraudowano pewną sumę, tym razem w hotelu Imperial, popełniono kilka samobójstw, ale że to wszystko powtarza się u nas co tydzień, więc i pisać nie ma o czem. Nowością było tylko, że więźniowie uciekli przez mieszkanie samego zarządcy więzienia, co świadczy o ich nadzwyczajnej pomysłowości, odwadze i pewności siebie. Jeszcze tylko brakowało, żeby spytali samego zarządcy, którzy najlepiej uciekać, czego jednak uczynić nie mogli, bo zarządcy nie było we Lwowie. Dwóch uciekinierów złapano. Sami dali się złapać, bo wydostawszy się na wolność, przekonali się, co to za brzydka kanikuła panuje na wolności i wolać wrócić do kryminału, gdzie jest o wiele przyjemniej, włączyli się apatycznie koło Brygidek, wobec czego nie pozostawało nic innego, jak tylko złapać ich i zamknąć. Inni dwaj wyjechali na lato i jest nadzieja, że po odpoczynku powrócą do codziennych zajęć w Brygidkach. Takie przynajmniej panuje przekonanie w sferach kryminalno-sądowo-policyjno-reportersko-dziennikarskich.

Nie jest u nas także nowością, że wydarzają się coraz częściej we Lwowie i na prowincyi rozmaite przestępstwa na tle seksualnym.

Jest to tylko dalszym dowodem, że starzy ludzie nie zapominają o młodych i że kwitnie u nas

miłość bliźniego, wydając piękne owoce. W sezonie ogórkowym, takie drobne, nie znaczące kiedykolwiek wypadki, stanowią prawdziwy żer dla łaknących sensacji reporterów, komisarzy policyjnych oraz pilnych czytelników gazet. Rzucają się na niewinnych ludzi, którzy bałamuca rzekomo młode dzieci przez to, że im dają facha do ręki i torują drogę do zarobku. Zawsze przecież chodzi tylko o początek, który — jak wiadomo — jest trudny. A takich ofiarnych panów, którzy myślą ciągle nietylko o swojej teraźniejszości, ale i o przyszłości bliźnich, mamy we Lwowie bardzo wielu, więc także nie nowego.

Jednem słowem: nie ma sensacji. Nawet na Radzie miejskiej niema nic ciekawego, bo w tym tygodniu z powodu braku kompletu posiedzenie Rady nie przyszło do skutku, a radni — jak donosi jeden z dzienników — odbyli posiedzenie w restauracji, potem posiedzenie tajne w kawiarni i dopiero nad ranem rozeszli się do domów. Co w tem ciekawego?

Albo to, że w Stanisławowie przebito żołnierza, co zresztą jeszcze nie jest stwierdzonem, czy — jak twierdzą niektóre dzienniki — kapitan umyślnie zgnał żołnierza końcem szabli w pierś, czy też — jak inne dzienniki piszą — żołnierz zbliżył się tak nieostrożnie, że sam się nadział na koniec szabli pana kapitana. Śledztwo — jak utrzymują fachowcy — wykaże, że żołnierz, chcąc próbować, czy szabla jest ostrą, sam wbił się na szablę i powinien być karany za taką poufałość.

I taka drobnostka w innym czasie nie doczekałaby się rozgłosu, bo przecież zdarzają się większe rzeczy przy wojsku, o których się wcale nie pisze, ale na kanikułę wszystko dobre, a więc i żołnierz przebit przez kapitana.

Natomiast omal nie zrobiła się onegdaj sensacja na ul. Kamiennej, łączącej ul. Pańską z ul. Batorego.

Mieszka przy tej ulicy jakaś „madame“, czyli po naszemu akuszerka, która sama przystojną jeszcze będąc, ma przystojniejszą o wiele córeczkę kilkunastoletnią a nadto ma psa.

Siedzi sobie onegdaj tą ulicą p. Roman B., który ma także psa. Dwa psy zważyły się ze sobą, jak zresztą zwyczajnie i p. B. nic złego nie prze-

domu. Nazajutrz wyjechał w góry na pobyt letni a jego żona otrzymała różowy list, adresowany do męża, zapraszający go na ul. Kamienną. Ma przyjść z białą różą w butonierce. Każda żona jest zazdrosna, a pani B. także. Odpisała więc na wskazany adres „Władysława, poste-restante“ — że będzie na ul. Kamiennej o siódmej wieczorem. I przyszła. W oknie siedziała piękna główka, należąca do córki akuszerki. Pani B. od razu przystąpiła.

— Czy pani pisała do mego męża?

— Ja... ja... — zaczęła się jąkać panienka — a skąd ja... a kto pani mówił, że to było do mego pana?

— Ma pani tu kartkę, to jest pismo pani.

— Ale adres...

— Aha, już wiem, że to pani, a pani skąd przychodzi pisać do obcych mężów i zapraszać ich na schadzki?

— Ale to nie do żadnych mężów, bo to było do psa.

— Co? Pani śmie mego męża nazywać psem? A ty smarkata jakaś!

Panienka w ten sposób obrażona na honorze rozplakała się i uciekła w głąb pokoju. W oknie zjawiała się teraz matka.

— Co tu się stało? — pyta przerażona.

— Niech pani powie córce swojej, aby została w spokoju mego męża.

— Co za męża?

— Ano pisze do niego listy i zaprasza go na schadzki.

— Ależ moja pani, tu nie chodzi o męża pani, ale o psa państwa. Nasz pies, Musio, zakochał się w psie państwa i od tego czasu nie chce usiedzieć w domu. Z ciężką biedą dowiedzieliśmy się o adresie państwa, no i chcieliśmy połączyć te dwa psy, albo przynajmniej umożliwić im częste schadzanie się.

Pani B. nie odpowiedziała ani słowa i odeszła. Nazajutrz pojechała w góry do męża, aby go spytać, czy tam w tej historii, prócz psiej miłości, nie było jakiej innej.

I dzięki temu na ul. Kamiennej dotąd nie wybuchła żadna bomba, a nawet nie wypalił żaden rewolwer.